



abc
kapitalizmu

ZESZYT DZIESIĄTY

abc

kapitalizmu

ZESZYT DZIESIĄTY

Spis treści

Wstęp - 3

Koniec z nędzą- 5

fragment książki Jeffrey Sachs z 2005 roku

Transformacja Walk Społecznych - 15

Fragment książki Jarosława Urbańskiego z 2014 roku,

Drugie pożegnanie- 23

Fragment książki Tomasz Szymona Markiewki

Kapitalizm drobnego druku - 31

Fragment książki Andrzeja Szahaja

Lata- 37

Fragment książki Annie Ernaux

Wstęp

Dziesięć lat temu, w pierwszym zeszycie ABC Kapitalizmu wspominałem kulisy powstawania planu Balcerowicza: cyklu drastycznych i niemal natychmiastowych reform ekonomicznych. Plan ten przeorał społeczeństwo w Polsce. Wtedy dziwiłem się, jakie to wszystko było trywialne i jak bardzo przypadkowe. W pewnym momencie, pewien facet (Jeffrey Sachs) zaproponował swoją koncepcję, że dzięki swoim kontaktom (oraz magii bycia „ekonomistą z USA!) rozmawiał swobodnie z decydentami. Nikt z tych „bojowników o demokrację” nie zapytał go alternatywne programy (a może zapytali, ale nic o tym nie wiem). I że ten program, który zdefiniował życia milionów ludzi, wszedł w życie. Niektórych z nas wpędził w nędzę, innych podniósł do góry. Dlaczego Demokracja na to pozwoliła? Dlaczego, dzięki sieci prywatnych powiązań i przypadków, wdrożono ten Plan bez jakiegokolwiek kontroli społecznej?

Wiadomo: wtedy Polska miała ekonomiczny nóż na gardle (hiperinflacja), a wojska radzieckie grały silniki w swoich bazach na jej terytorium. Jednak nadal: nikt nie uznał za stosowne zapytać społeczeństwa o opinie. Najwięksi bojownicy o Wolność i Demokrację zaraz po zdobyciu władzy zapomnieli o tym jak może wyglądać Wolność i Demokracja.

Co gorsza, dopuścili do zrównania dwóch oddzielnych pojęć: Demokracja i Kapitalizm.

No dobra, tak było, a jak jest? Czy dziś, gdyby chciano wdrożyć podobny plan, z podobnymi zmianami społeczno-ekonomicznymi, to czy ktoś by w Sejmie wstał i powiedział: Stop, nie zgadzam się!

Wydaje mi się, że nawet jeśli zrobiliby to pojedyncze osoby, to bez większego efektu. Bo dwa fakty są przytłaczające:

Pierwszy: dziś sieć powiązań kapitału z polityką jest dużo, dużo większa niż 35 lat temu. Jeśli kraj porzuci drogę ekonomii kapitalistycznej, to Kapitał, za pomocą podniesienia kosztów obsługi zadłużenia, doprowadzi budżet tego kraju do bankructwa. I wtedy albo upada rząd, albo następuje interwencja militarna w celu obrony zagranicznego kapitału (jak nie wierzysz, to poczytaj o kryzysie ekonomicznym w Grecji 10 lat temu).

Drugi: turbo indywidualizm panujący w Polsce i ogromna słabość ruchu lewicowego w tym kraju. Ruch lewicowy został przeorany komunizmem. Polska jest krajem, w którym określenie „komunista” jest po prostu inwektywą. Jak Żyd, Żydek, Żydokomuna. Lewaki. Więc z jednej strony cała Lewica jest zakładniczką przeszłości, z drugiej jest kompletnie nijaka ideowo. Czy i jak Lewica dziś sama się

definiuje? Nie, bo nikt nigdy jej do tego nie zmusił. Czy osoby, które uważają się za lewicowe, podejmują debatę o tym, co to w ogóle znaczy? Czy jestem socjalistką? Socjaldemokratką? Zgadzam się na rewolucję z użyciem przemocy? Czy postulat walki klas jest aktualny? Czy zgadzam się z Marksem? A może jednak anarchizm indywidualistyczny jest najlepszym rozwiązaniem?

A ponieważ Lewica nie wykonuje debat na poziomie ideowym, nie ma też debat na poziomie praktycznym: jaki system emerytalny proponują pracownikom Biedronek mieszkańcy Squatu? Co w sprawie systemu ochrony zdrowia ma do powiedzenia aktywistka prowadząca kampanie na rzecz zaimków bezosobowych?

Mam wrażenie, że im bardziej nie ma takich debat, tym bardziej tkwimy w bierności. Jeśli nie zdefiniujemy czego chcemy i jakimi metodami to chcemy osiągnąć, to ciągle będziemy się tylko poklepywać po ramionach i „wspierać w kryzysie”. Ciągłe i ciągle będziemy ruchem reaktywnym, odpowiadającym na wszelkie ruchy kapitalistów i konserwatystów. Niczego nie zaproponujemy, nie zrobimy kroku naprzód, nie będziemy nadawać tonu debacie.

A bez tego, nie będzie zmiany. Będzie jak jest.

Może, zaraz za rogiem, jest już nowe pokolenie, które właśnie zrobi to wszystko? Chciałbym. Gdy czytam „Lata” Annie Ernaux (fragment znajdziesz na końcu tego zeszytu) to myślę, że i tak już to wszystko było. 50 lat temu we Francji społeczeństwo było w tym samym momencie co my dziś. I co?

Nie wiem, kurde, naprawdę nie wiem.

Koniec z nędzą

Rewolucja demokratyczna w Polsce

Z Moskwy, gdzie uczestniczyłem w krótkiej konferencji, 5 kwietnia 1989 roku przyjechałem do Warszawy. Zajął się mną ekonomista z Instytutu Handlu Zagranicznego. Wygłosiłem prelekcję o zarządzaniu długiem, odbyłem zaplanowane spotkanie z kilkoma ekonomistami z „Solidarności”, a potem pojechałem do pałacu, w którym właśnie dobiegały końca negocjacje przed podpisaniem Porozumienia Okrągłego Stołu. Tego samego dnia wyjechałem z Polski. Moja wizyta trwała tylko dzień, ale miałem odczucie, że byłem świadkiem wydarzeń, które przejdą do historii.

Kilka tygodni później zatelefonował do mnie George Soros, niezwykle finansista i filantrop. Powiedział mi, że jest w kontakcie z kilkoma osobami z kierownictwa „Solidarności” i że właśnie wybiera się do Polski. Czy nie zechciałbym mu towarzyszyć w tej podróży i spotkać się z tymi ludźmi? Odpowiedziałem, że - jak się dziwnie składa - niedawno odbywałem rozmowy w Warszawie i mam ciągle aktualne zaproszenie do odwiedzenia Polski. Soros zdawał sobie sprawę, że jego wsparcie finansowe mogłoby pomóc w wywieraniu nacisku na demokratyzację w całej Europie Wschodniej. Już przecież jego ofiarowywane w porę dary w postaci urządzeń do faksowania, fotokopiarek, biletów lotniczych itd. wywierały niesłychany wpływ na przyspieszenie rewolucji de-

#8-faktów-o-Polsce

1

**w 2023 roku
w Polsce
ponad 820 tys.
gospodarstw
domowych
żyło poniżej progu
ubóstwa
skrajnego**

mokratycznej w tym regionie. W maju 1989 roku pojechałem z Sorosem do Polski. Spotkaliśmy się z przedstawicielami rządu i ponownie z ekonomistami z „Solidarności”.

Tamtej wiosny wszyscy spodziewali się, że reżym komunistyczny będzie nadal panował. Jednak wobec pogłębiania się chaosu gospodarczego coraz pilniejsza stawała się potrzeba znalezienia jakiegoś rodzaju równowagi politycznej i społecznej, która pozwoliłaby na wprowadzenie reform. Nikt nie wiedział, co robić. Gospodarka była w rozsypce: załamało się planowanie; dominował czarny rynek; zwiększała się inflacja, a w sklepach brakowało dosłownie wszystkiego. W ostatnim dniu pobytu w Warszawie powiedziałem moim rozmówcom z „Solidarności” i z rządu, że chętnie bardziej się zaangażuję w pomoc w przezwyciężaniu pogłębiającego się kryzysu gospodarczego. Zapytałem George’a Sorosa, czy jego Fundacja im. Stefana Batorego pokryje koszty działania małego zespołu. Zaprosiłem do współpracy swojego byłego studenta i przyjaciela Davida Liptona, zatrudnionego wówczas w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Zaczęliśmy pracę w charakterze doradców, wciąż nie mając pojęcia, co się jeszcze zdarzy.

Punktem zwrotnym w polskiej polityce był 4 czerwca 1989 roku. W tym samym dniu, w którym doszło do masakry na placu Tiananmen w Pekinie, w Polsce, po raz pierwszy od pół wieku, odbywały się wolne wybory. Zgodnie z porozumieniami zawartymi przy „okrągłym stole”, po pierwsze, miała powstać wyższa izba parlamentu, Senat, po drugie zaś jedna trzecia miejsc w izbie niższej, Sejmie, miała być obsadzona przez posłów wyłonionych w wolnych wyborach. „Solidarność” odniosła wielki sukces - zdobyła 99 procent miejsc w Senacie i całą przewidzianą pulę, czyli 35 procent, miejsc w Sejmie. Taki wynik wyborów oznaczał polityczne trzęsienie ziemi: częściowe zapoczątkowanie odnowy politycznej i zgodne żądanie społeczeństwa: „Komuniści muszą odejść”!

Następne dwa miesiące były najbardziej niezwykłym okresem w moim życiu zawodowym. Kiedy wkrótce po wyborach wróciłem do Polski, młody dynamiczny działacz, Grzegorz („Lany”) Lindenberg, zorganizował nasze, tj. Liptona i moje, trzy kolejne spotkania z głównymi strategami ruchu „Solidarność”: Bronisławem Geremkiem, Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem. Ci trzej ludzie to giganci w światowej walce o prawa człowieka; wszyscy trzej odgrywają zasadniczą rolę w eliminowaniu zimnowojennych podziałów Europy.

Pewnego dnia późnym popołudniem zasiadłem do rozmowy z Geremkiem. Zapytał mnie, co - moim zdaniem - powinna teraz zrobić „Solidarność”. Zaczęliśmy dyskusję, która trwała kilka godzin. Powiedziałem Geremkowi, że wybory dały „Solidarności” mandat do rządzenia. Szybko dodałem, że nie chcę być naiwny, bo wiem przecież o minionych tragicznych wydarzeniach w historii Europy Wschodniej - o stłumieniu w 1953 roku przez wojska radzieckie powstania w Niemczech

Wschodnich (b. NRD), o krwawej interwencji ZSRR w 1956 roku na Węgrzech i w Czechosłowacji w 1968 roku, nie mówiąc już o stanie wojennym w Polsce. Niemniej jednak wyniki wyborów były jednoznaczne.

Geremek zgłosił sprzeciw. Widziałem, jak jego twarz zasępiła się, kiedy wspominałem o historii. Wyraził wątpliwość, czy - abstrahując od praktycznych trudności przy wszelkiego rodzaju dzieleniu się władzą w Europie Wschodniej - „Solidarność” faktycznie może zarządzać gospodarką, która znajduje się w stanie chaosu, jeśli nie zupełnego załamania. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby, gdyby „Solidarność” uczestniczyła w rządzeniu niejako z bocznej linii, doradzając - być może za pośrednictwem solidarnościowej komisji ekonomicznej w nowo wybranym Senacie - a nie próbowała brać na siebie odpowiedzialność za bałagan, którego przecież nie ona narobiła i który niełatwo będzie zlikwidować.

Teraz była moja kolej na wyrażenie sprzeciwu. Zakwestionowałem pomysł, że gospodarką można kierować z bocznej linii, że „Solidarność” może odegrać historyczną rolę za pomocą senackiej komisji. Wyjaśniłem, że zarządzanie programem stabilizacji to pasmo udręk, że w rzeczywistości reforma gospodarki, taka jak w Boliwii, to jedna koszmarna przeprawa po drugiej”. Mówiłem o tym, jak niebezpiecznym zadaniem jest sterowanie gospodarką wśród huraganu hiperinflacji i przy kryzysie zadłużenia zagranicznego. Wyjaśniłem też, dlaczego sądzę, że „Solidarność” może się udać. Reformy ekonomiczne są w toku. Społeczeństwo opowiada się za „Solidarnością”. Teraz nadszedł czas na działanie. Po kilku godzinach Geremek powoli wstał. „Okropnie się czuję po tej dyskusji, ponieważ myślę, że ma pan rację. Być może nie mamy wyboru”. Geremek zasugerował, abyśmy obaj z Liptonem wybrali się do Jacka Kuronia. Spotkaliśmy się z nim w jego mieszkaniu przed wieczorem w kilka dni później. Kiedy przyszedliśmy do małego mieszkania Kuronia, zastaliśmy go za biurkiem zawalonym papierami, w gabinecie, w którym na podłodze i na stole piętrzyły się stosy książek. Kuroń wyciągnął pierwszą z wielu paczek papierosów, jakie miał wypalić tego wieczora, i butelkę alkoholu. Prawie nie mówił po angielsku, a rozumiał niewiele więcej. Uśmiechnął się i powiedział: „Okay, dlaczego tu przyszliście?”. „Proszono mnie, żebym przyszedł do pana pomówić o tym, jak Polska może się wydobyć z tego bałaganu” - powiedziałem. Za tłumacza służył Larry. „No dobrze odparł Kuroń. I co macie do powiedzenia?”. Zacząłem snuć opowieść o tym, jakie naprawdę znaczenie może mieć dla Polski reforma gospodarcza. Mówiłem, że Polska znowu powinna stać się „normalnym” krajem z normalną gospodarką. Rewolucjoniści z Europy Wschodniej, łącznie z Kuroniem, głosili hasło „powrotu do Europy”. Nie byli utopistami ani niedoszłymi wynalazcami nowego ustroju społecznego. Po prostu domagali się, aby Polska i kraje sąsiednie stały się znowu częścią zjednoczonej „normalnej” Europy. W języku ekonomii oznaczało to gospodarkę mieszaną, taką jak u zachodnich sąsiadów Polski.

Improwizowałem dalej, ukazując zarys strategii ekonomicznej tego powrotu Polski do Europy. Opierając się trochę na moich doświadczeniach z Boliwii, gdyż ten kraj „powrócił” do gospodarki światowej po dziesięcioleciach dobrowolnego protekcyjizmu. Porównałem również sytuację Polski z sytuacją jaka panowała w Hiszpanii i Portugalii w latach 70. po długim okresie rządów wojskowych Franco i Salazara. Kraje te żyły w izolacji politycznej i gospodarczej. A potem odnalazły drogę powrotną do serca Europy dzięki reformom politycznym i gospodarczym. Ich powrotowi towarzyszyły znaczne osiągnięcia ekonomiczne, miały wysokie stopy wzrostu gospodarczego i z powodzeniem przyciągały z innych krajów europejskich inwestycje zagraniczne, co pozwalało tworzyć nowe miejsca pracy.

Wymieniłem najważniejsze problemy wiążące się z powrotem Polski do Europy i wynikające z nich zadania: rozwijanie opartego na zasadach rynkowych handlu z innymi krajami europejskimi; przemieszczanie się ludzi, towarów i przedsiębiorstw z Polski do Europy i z Europy do Polski; przejście przez Polskę z Europy Zachodniej praw, instytucji i sposobów sprawowania rządów, tak aby możliwie jak najszybciej - być może w ciągu pięciu lat - Polska mogła zostać członkiem Wspólnoty Europejskiej (która za trzy lata, w 1992 roku, przekształciła się w Unię Europejską). Aby jednak sprostać tym zadaniom, trzeba będzie opracować bezkompromisowy program stabilizacji, gdyż krajowi bezpośrednio zagraża kryzys - niedobory, czarny rynek i spirala hiperinflacji. Trzeba będzie również zmniejszyć ogromne niespłacone zadłużenie przez wynegocjowanie umorzenia części długu, tak jak zrobiła Boliwia w 1987 roku.

Rozmowa ta odbywała się jakiś czas przed powstaniem rządu pod przewodnictwem „Solidarności”, toteż moje wywody miały charakter improwizacji. Co kilka minut Kuroń uderzał ręką w stół i mówił: „Tak, rozumiem! Tak, rozumiem!”. W pokoju było pełno dymu z papierosów i wciąż nalewano z butelki. A ja mówiłem i mówiłem, może jeszcze przez trzy lub cztery godziny. Byłem złany potem. Nie wiem, ile paczek papierosów wypalił wtedy Kuroń, ale ciągle trzeba było opróżniać popielniczkę. Był już bardzo późny wieczór, kiedy powiedział: „W porządku, zrozumiałem. Zrobimy to. Napiszcie plan”.

Pomyślałem: „To fascynujące. Te pomysły spodobały mu się”. I powiedziałem: „Panie Kuroń, wrócimy teraz do kraju i w ciągu tygodnia lub dwóch przysyłamy panu faksem zapis tych pomysłów”. Uderzył w stół. „Nie! Potrzebujemy planu teraz”. Zapytałem: „A co pan rozumie przez »teraz«?”. „Potrzebne mi jest to na jutro rano”. Było pewnie pół do dwunastej. „Dobrze - powiedział Larry. Pojedziemy teraz doredakcji »Gazety«. Tam mają komputer. Możecie zapisać wasz plan”. Larry Lilldenberg był szefem ekonomicznym „Gazety Wyborczej”, nowo zalegalizowanej gazety „Solidarności”, której naczelnym redaktorem został Adam Michnik.

Plan stworzenia gospodarki rynkowej

O północy dotarliśmy do pomieszczenia redakcji informacyjnej, niedawno przystosowanej do celów „Gazety” z salki w żłobku. Usiadłem przy klawiaturze komputera i razem z Liptonem zaczęliśmy pisać tekst planu transformacji Polski z kraju o gospodarce podporządkowanej systemowi radzieckiemu w kraj o gospodarce rynkowej, funkcjonujący w ramach Wspólnoty Europejskiej. Pracowaliśmy całą noc do świtu, a w końcu wydrukowaliśmy piętnastostronnicowy tekst, w którym przedstawiliśmy zasadnicze koncepcje i planowany chronologiczny porządek reform. Jestem przekonany, że był to pierwszy raz, kiedy ktoś opracował wszechstronny plan transformacji gospodarki socjalistycznej w gospodarkę rynkową. Przedstawiliśmy w skrócie poszczególne grupy problemów: handel zagraniczny, kursy walutowe, liberalizacja cen, wymienialność waluty, stabilizacja, polityka przemysłowa, umorzenie zadłużenia. Trochę miejsca poświęciliśmy prywatyzacji, z którą wiązała się największa niepewność.

Zaproponowaliśmy zdecydowane, szybkie przejście do gospodarki rynkowej - skok nad przepaścią instytucjonalną - oraz wprowadzenie mechanizmów rynkowych, nawet zanim będzie można doprowadzić do wszechstronnej prywatyzacji. Sformułowaliśmy hipotezę, która później okazała się poprawna, że przedsiębiorstwa będące własnością państwa mogłyby funkcjonować mniej więcej podobnie do przedsiębiorstw prywatnych, gdyby pozwoliło się im działać na zasadach rynkowych, mimo że są jednostkami biurokratycznymi i nie mają właścicieli innych niż państwo. Podkreślaliśmy, że państwo raczej prędzej niż później będzie musiało, stosując różne metody prywatyzacji, znaleźć dla tych przedsiębiorstw prawdziwych właścicieli.

W wielkim skrócie główne hasła naszego programu, które później miały być wielokrotnie powtarzane, można przedstawić w pięciu punktach.

- Stabilizacja - położenie kresu inflacji i wprowadzenie stabilnej wymiennej waluty.
- Liberalizacja - pozwolenie na funkcjonowanie rynków przez legalizację prywatnej działalności gospodarczej; zaprzestanie kontrolowania cen i uchwalenie niezbędnego prawa handlowego.
- Prywatyzacja - zidentyfikowanie prywatnych właścicieli majątku, którym obecnie dysponuje państwo. Majątek ten mógłby być prywatyzowany albo w całości, w postaci całych przedsiębiorstw, albo częściami (wyposażenie, budynki, grunty), zależnie od okoliczności.
- Siatka bezpieczeństwa socjalnego - emerytury, opieka zdrowotna oraz inne świadczenia dla osób starszych i ubogich, szczególnie po to, aby je osłaniać przed skutkami transformacji.
- Harmonizacja instytucjonalna - przyjmowanie i dostosowywanie do lokalnych warunków, krok po kroku, prawa gospodarczego, procedur i instytucji zachodnio-europejskich, aby móc z powodzeniem ubiegać się o członkostwo w Unii Europejskiej (w 1989 roku jeszcze Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej).

Zadania stojące przed Polską były pod pewnymi względami podobne do tych, z jakimi musiały się uporać kraje Ameryki Łacińskiej, ale były też pewne głębokie różnice. Podobieństwa były głównie makroekonomiczne. Tak jak w krajach Ameryki Łacińskiej, w Polsce występowała wysoka inflacja, duży deficyt budżetowy i duże zadłużenie zagraniczne. Tak jak w części krajów latynoamerykańskich, waluta Polski była niestabilna i nie była swobodnie wymienialna po oficjalnym kursie, toteż występowała ogromna rozpiętość między oficjalnym a czarnorynkowym kursem waluty. Rozpiętość ta z kolei prowadziła do występowania na wielką skalę przemytu i do uchylania się od podatków.

Być może istotniejsze były jednak różnice. Polska była krajem ludzi o przyzwitym poziomie wykształcenia oraz jednolitym etnicznie. Nie występowały tu najczęściej takie napięcia klasowe i etniczne, jakie dzieliły społeczeństwo Boliwii. Polska nie była też krajem ubogim. Jednak infrastruktura była w stanie rozkładu i wymagała pilnych i ogromnych nakładów; po dziesięcioleciach energochłonnej industrializacji i na skutek braku kontroli nad środowiskiem skażenie powietrza i wody przekraczało dopuszczalne normy; fabryki budowane w epoce radzieckiej dominacji wytwarzały produkcję nie mogącą konkurować na zachodnich rynkach. Mimo to jednak Polska była krajem znacznie zurbanizowanym, o ludności legitymującej się niezłym wykształceniem, wyposażonym w podstawową infrastrukturę (drogi, sieć energetyczna, wodociągi i kanalizacja, porty i lotniska). Miała również korzystne warunki geograficzne. Bliskie sąsiedztwo z Niemcami, po raz pierwszy w nowożytnej historii Polski, było wielkim plusem, gdyż ułatwiało jej obustronną wymianę handlową z największą gospodarką Europy Zachodniej. (W przeszłości to samo bliskie sąsiedztwo oznaczało wciąż powtarzające się najazdy i podboje).

Zdecydowanie największa różnica między krajami Ameryki Łacińskiej a Polską polegała na tym, że polskie społeczeństwo wiedziało, dokąd zmierzać; w kierunku Europy Zachodniej. Przed 1945 rokiem Polska była krajem o gospodarce rynkowej, a przystępując do wprowadzania reform mogła się oprzeć na kodeksie handlowym z lat 30. Mogła też zaadaptować nowocześniejsze prawa handlowe będące bazą prawną wspólną dla krajów EWG. W dążeniu do powrotu do Europy Polska miała dobry wzór do naśladowania, przynajmniej częściowo: Hiszpanię z czasów po śmierci dyktatora Francisco Franco.

Pozycja Hiszpanii i Polski w Europie jest pod wieloma względami podobna. Są to kraje katolickie o zbliżonej liczbie mieszkańców - około 40 milionów. Oba leżą na krańcach gospodarki Europy kontynentalnej, mniej więcej w takiej samej odległości - Hiszpania na południe, Polska na wschód - od centralnego punktu uprzemysłowionego regionu nad Renem. Należały do tych krajów europejskich, których uprzemysłowienie nastąpiło później.

W 1955 roku wysokość PKB na jednego mieszkańca była w obu tych krajach podobna: w Hiszpanii 516 dolarów, a w Polsce 755 dolarów. Obydwa kraje były zniszczone przez wojnę (w przypadku Hiszpanii przez wojnę domową). Polska znajdowała się wtedy od dziesięciu lat pod polityczną kontrolą Związku Radzieckiego. W Hiszpanii stopniowo następowała liberalizacja, jeszcze za życia generała-Franco. Potem, po śmierci dyktatora w 1975 roku, kraj ten przyspieszył integrację z Europą. W 1986 roku Hiszpania została członkiem EWG, a po powrocie do Europy wręcz dokonała cudów pod względem wzrostu gospodarczego. Przyciągała turystów i inwestycje z Europy Zachodniej, ogromnie zwiększyła eksport do krajów sąsiednich, a stopa wzrostu jej gospodarki należała do najwyższych w Europie. Do 1989 roku PKB na jednego mieszkańca był w Hiszpanii mniej więcej czterokrotnie większy niż w Polsce.

Nie ukrywałem nadziei i wiary w to, że Polska, przystępując do odrabiania prawie czterdziestu lat straconego czasu, może osiągnąć tego typu ożywienie jak Hiszpania. Kiedy jednak zapisywaliśmy założenia planu, towarzyszyła nam ogromna niepewność. Co się stanie z przestarzałym przemysłem ciężkim zbudowanym w Polsce na podstawie handlowych i energetycznych powiązań z ZSRR? Wkrótce mieliśmy się o tym przekonać. Wraz z rozpoczęciem przeobrażeń znacznie zmniejszyła się produkcja starych gałęzi przemysłu. Toteż pierwszym zmianom towarzyszył dramatyczny spadek produkcji przemysłowej, gdyż dokonywano restrukturyzacji przedsiębiorstw odziedziczonych po okresie radzieckiej dominacji. Wzrost PKB dało się zauważyć w 1991 roku, drugim roku przeprowadzania reform. Na szczęście wzrost ten wkrótce nabrał przyspieszenia i Polska przekroczyła poziom PKB i poziom produkcji przemysłowej z 1989 roku.

Rozpoczęcie realizacji planu

Następnego dnia rano zanieśliśmy sporządzony dokument Jackowi Kuroniowi. „Dobre, to jest dobre - powiedział Kuroń - chodźmy do Michnika”. Adam Michnik, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, był kolejnym członkiem triumwiratu „Solidarności”. Michnik, odważny wizjoner, odznaczał się taką samą klarownością myślenia, jak wszyscy, z którymi spotykałem się w czasie przewrotu demokratycznego w Europie Wschodniej i w krajach byłego Związku Radzieckiego. Przedstawiłem mu plan. Trochę rozmawialiśmy. Michnik wciąż powtarzał: „Nie jestem ekonomistą. Nie rozumiem tych rzeczy”. Na koniec naszej rozmowy zapytał: „Czy to się uda? To właśnie chcę wiedzieć. Czy to się uda?” „Tak, uda się” powiedziałem. „Czy naprawdę wierzysz, że to zadziała?” - zapytał Michnik. „To dobry plan. Można go wykonać” - odpowiedziałem. Na to Michnik: „W porządku, dostarczyłeś mi ostatni element do mojej układanki. Wiem, co trzeba zrobić od strony politycznej. Teraz mówisz mi, że jest również strategia gospodarcza. W takim razie wchodzimy do rządu”.

Kilka dni później Michnik zamieścił w „Gazecie Wyborczej” artykuł wstępny, w którym tak zdefiniował polityczną transformację w Polsce: „Wasz prezydent, nasz premier”. Władza będzie sprawowana wspólnie. „Solidarność” utworzy rząd: komunistom przypadnie urząd prezydenta i „resorty siłowe” (obrona, sprawy wewnętrzne, wywiad, policja). Był to błyskotliwy manewr, budowanie zaufania ponad pełnym wrogości, trwającym pół wieku politycznym podziałem. Kompromisowa propozycja Michnika opierała się nie tylko na politycznym realizmie, ale także na mającym zasadnicze znaczenie zrozumieniu tego, że przywódcy „Solidarności” i przywódcy partii komunistycznej są polskimi patriotami, których o wiele więcej łączy niż dzieli. Przy pozostawieniu „resortów siłowych” w rękach komunistów większe było prawdopodobieństwo, że władze radzieckie zaaprobują przejście przez „Solidarność” ministerstw cywilnych.

Michnik, Kuroń i Geremek przekonali Liptona i mnie, że teraz musimy poinformować o wyniku naszej pracy Lecha Wałęsę. Parę dni później poleciliśmy małym samolotem z Warszawy do Gdańska. Po przylocie pojechaliśmy taksówką do prawie pustego, ogromnego budynku, znajdującego się naprzeciwko słynnej Stoczni Gdańskiej, miejsca, w którym Lech Wałęsa w 1980 roku przeskoczył przez płot i rozpoczął rewolucję wolności w Europie Wschodniej. Zaprowadzono nas do biura Wałęsy. Na ścianach pokoju wisiały fotografie Martina Luthera Kinga juniora oraz Johna i Roberta Kennedych, a także różne proklamacje i odznaczenia. Przez okna widzieliśmy wielką kotwicę przy wejściu do stoczni. Wszedł Wałęsa, przywitaliśmy się z nim. Odezwał się ostro: „A co wy tu robicie? Czego chcecie?”. „Panie Wałęsa - powiedziałem - jesteśmy tu, aby porozmawiać z panem o tym, że Polska pogrąży się w hiperinflacji. Mamy plan stabilizacji gospodarczej i reform. Chcielibyśmy go panu przedstawić”. Wałęsa natychmiast przerwał mi: „Ja tu nie przyszłem dla abstrakcyjnej dyskusji; chcę wiedzieć, jak ściągnąć do Gdańska banki”.

Byłem skonsternowany, ale stanowczo odparłem: „Panie Wałęsa, hiperinflacja to nie problem abstrakcyjny. Obecny kryzys gospodarczy może naprawdę zniszczyć polskie społeczeństwo”. Zacząłem od próby wyjaśnienia, co myślę o obecnych wydarzeniach. Wałęsa słuchał, zadał jedno czy dwa pytania, a potem powiedział: „Chcę wiedzieć, jak mamy tu sprowadzić zagraniczne banki. Mamy tu dobre budynki. Potrzebujemy banków. Chcę, żeby pan mi pomógł sprowadzić bank do Gdańska”. „Dobrze - odparłem - na pewno popracuję nad tym, żeby panu pomóc w tej sprawie”. Jeszcze trochę dyskutowaliśmy, Wałęsa podziękował nam za przybycie i wyprowadzono nas. Byłem zdumiony.

Kilka lat później w ambasadzie Belgii w Moskwie rozmawiałem z kilkoma ambasadorami. W pewnej chwili ambasador Belgii wziął mnie na stronę i powiedział: „Zapewne trochę to pana zaskoczy, ale proszę sobie wyobrazić, że latem 1989 roku byłem gościem Wałęsy zaraz po panu. Byłem wtedy ambasadorem Belgii w Polsce”. Wyrzuciłem zdziwienie. Ambasador mówił dalej: „No i pan Wałęsa powiedział

mi: „Nie wiem, o czym ten facet mówił, ale to na pewno było interesujące.”. Tak się złożyło, że potem wiele razy spotykałem się z Lechem Wałęsą. Ogromnie go podziwiałem i nadal podziwiam. Na pewno to przede wszystkim jego osoba za-inspirowała mnie do pojawienia się w Polsce. Ten elektryk przeskoczył przez płot stoczni i przyniósł wielkość swojemu krajowi. Wałęsa miał w życiu niewiele czasu na uczenie się makroekonomii. Jednak dobrze rozumiał naturę ludzką i politykę; pod obydwoma tymi względami wiele się od niego nauczyłem, tak jak cały świat. Na początku lat 90. Wałęsa był wielkim prezydentem Polski i jest jednym ze światowych bohaterów walki o wolność.

Wróciliśmy z Liptonem do Stanów Zjednoczonych. W tydzień po naszym powrocie, w połowie lipca, rozmawiałem przez telefon z Michnikiem. „No i co się u was dzieje?”. Michnik odpowiedział: „W porządku, to się uda”. „Co masz na myśli?” zapytałem. „Zadzwonił do nas Gorbaczow i powiedział, że zgadza się na proponowaną zmianę”. Związek Radziecki miał zaakceptować solidarnościowego premiera i komunistycznego prezydenta. Ta decyzja Gorbaczowa była kolejnym z jego niezwykle ważnych posunięć, które się przyczyniły do umocnienia pokoju na świecie i zakończenia zimnej wojny. Udzielił on aktywnej pomocy w negocjowaniu dojścia do władzy „Solidarności” w Polsce. Tego obrotu spraw nie traktował z niechęcią jako faktu dokonanego, ale popierał w interesie pokoju.

Jeffrey Sachs, fragment z książki „Koniec z Nędzą - zadanie dla naszego pokolenia”, 2005

Trans- formacja walk społecz- nych w Polsce

Odpowiedź na terapię szokową

O ile wzrost niepokojów społecznych w wielu krajach Azji spowodowany alokacją produkcji kapitalistycznej na Wschód nie budzi wątpliwości, o tyle ocena reakcji społecznej na transformację ustrojową w Europie Środkowej i Wschodniej (w tym w Polsce) nie jest jednoznaczna. Zaskakuje tu zresztą niewielka liczba badań socjologicznych. W 1999 r. na Zachodzie ukazała się książka Grzegorza Ekierta i Jana Kubika *Rebellius Civil Society*, najbardziej wpływowych badaczy konfliktów społecznych lat 90. w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej, na których później powoływało się szereg innych autorów i autorek¹. Ekiert i Kubik twierdzą, iż wpro-

¹ Poglądy autorów rekonstruuje na podstawie ich artykułów opublikowanych w Studiach Socjologicznych (Ekiert 1994 oraz Ekiert, Kubik 1997) oraz artykułu Jana Kubika i Michała Wenzel (2007) zamieszczonego na stronach CBOS.

#8-faktów-o-Polsce

2

**w 2012 roku
36 tysięcy osób
otrzymywało
emeryturę
niższą niż
minimalna
w 2024 roku
jest to już ponad
403 tysiące osób**

wadzeniu zmian ustrojowych w Polsce po 1989 r. towarzyszyła fala wystąpień społecznych, charakteryzujących się „dość znaczną intensywnością”; w których udział wzięło „setki szkół, szpitali, przedsiębiorstw, tysiące robotników i pracowników umysłowych” (Ekiert, 1994). Wzrastające natężenie protestu wobec kapitalistycznej transformacji było - według cytowanych autorów - „najbardziej nieoczekiwanym rezultatem” ich ówczesnych badań (Ekiert, Kubik 1997). Podobny wzrost aktywności zauważyli oni także w pierwszej połowie lat 90. w innych krajach regionu (Węgry, Słowacja i Niemcy Wschodnie).

David Ost (2007) opisując tamten okres podaje szereg przykładów protestów pracowniczych, od strajku kolejarzy w 1990 r. do spiętrzenia dwa lata później wystąpień pracowników szeregu zakładów pracy i branż: przemysł samochodowy i lotniczy, kopalnie węgla i miedzi, pracownicy służby zdrowia i oświaty, wreszcie rolnicy itd. Wobec zaistniałej sytuacji i coraz większych wewnętrznych rozłamów, kierownictwu Solidarności nie pozostało nic innego jak poprzeć strajki, w których uczestniczyło w latach 1992-1993 łącznie ponad 1,1 mln osób, więcej niż w przełomowym lipcu i sierpniu 1980 r.² Było to w ogóle jedno z największych spiętrzeń strajkowych w Europie, a nawet na świecie, w pierwszej połowie lat 90. (Vanhuysse, 2004). Wobec powyższego od grudnia 1992 do maja 1993 r., Solidarność uderzyła w bojowy ton. Kulminacyjnym momentem stał się strajk górników, w którym wzięło udział 320 tys. osób zatrudnionych w 65 kopalniach.

Zaognienie sytuacji społecznej wywołało szereg skutków politycznych. Po pierwsze, wymuszono zmiany ustrojowe. Powołano Komisję Trójstronną (rząd, organizacje pracodawców, związki zawodowe) do negocjacji istotnych dla świata pracy zmian legislacyjnych i polityki gospodarczej oraz zawarto „pakt o przedsiębiorstwie”, który miał za zadanie zniwelować negatywne skutki transformacji własnościowej. Co więcej, efektem wystąpień i zmiany nastrojów społecznych, był wyraźny odpych poparcia dla dawnej opozycji. Fala niezadowolenia społecznego z tamtych lat skierowana była nie tylko przeciwko rządowi, ale też Solidarności, a bezpośrednią przyczyną były oczywiście skutki wprowadzenia „reformy Balcerowicza”. Opisy sytuacji społeczno-ekonomicznej w potransformacyjnej Polsce można znaleźć w przynajmniej kilku opracowaniach (patrz przykładowo: Konat, 2009: 19-49; Hardy, 2010: 175-210). Przede wszystkim mówią one o wzrastającym bezrobociu - w ciągu czterech lat po transformacji oficjalna stopa bezrobocia wzrosła do ponad 16%, ale szereg grup społecznych zostało de facto wypartych z rynku pracy (wcześniejsze emerytury, renty itd.), tak, iż realne bezrobocie było znacznie wyższe, być może nawet dwukrotnie. Nastąpił wzrost cen podstawowych artykułów i spadek realnych dochodów wielu grup społecznych - pracowników przedsiębiorstw państwowych

² W okresie dwóch lat poprzedzających wystąpienia z lat 1992-1993w strajkach udział wzięło 337 tys. pracowników. W całym tym okresie(1990-1994) strajkowało łącznie ponad 1450 tys. zatrudnionych. Podaję się, że w lipcu 1980 r. strajkowało 177 zakładów i ok. 80 tys. pracowników, a w sierpniu 700 zakładów i 750 tys. zatrudnionych.

niektórych branż, emerytów czy zatrudnionych w sferze budżetowej, a zwłaszcza w rolnictwie. Spadła produkcja przemysłowa. Wreszcie w krótkim czasie nastąpił wysoki skok przestępczości - liczba przestępstw między 1989 a 1990 r. wzrosła ponad 60%! (Siemaszko, 1999; 9).

Jeszcze w 1991 r., całkowicie wolne wybory do sejmu, o charakterze jednak plebiscytowym, zapewniły sukces ugrupowaniom wywodzącym się z opozycji solidarnościowej. Sojusz Lewicy Demokratycznej (SLD), grupujący zwolenników ancien régime'u oraz partie uznane przez opozycję za satelickie względem SLD, w tym przede wszystkim Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL), zyskały łącznie 22% głosów. Opozycja z Solidarności „zgarnęła” znakomitą większość miejsc w parlamencie, ale była już wewnętrznie mocno skłócona i podzielona na liczne konkurujące ze sobą ugrupowania. Podzielały one jednak wspólne i niezłomne przekonanie, że powrót komunistów do władzy jest niemożliwy.

Dwa lata później, kiedy w sejmie walczyły ze sobą frakcje, na ulicach i w zakładach pracy tłumy domagały się redukcji skutków „terapii szokowej”, jaką okazała się zmiana ustroju. Doszło do przyspieszonych wyborów wymuszonych m.in. radykalizacją nastrojów w łonie samej Solidarności i zwinięciem „parasola ochronnego” nad liberalnym rządem Hanny Suchockiej. Do wyborów w 1993 r. „stara lewica” z SLD stanęła pod hasłem wyhamowania transformacji i walki z jej negatywnymi skutkami. Solidarność i dawna opozycja poniosła klęskę. SLD i PSL objęły 2/3 miejsc w sejmie. Do parlamentu dostała się jeszcze Unia Pracy (lewicowa partia powstała z inicjatywy zarówno byłych działaczy partii komunistycznej, jak też Solidarności), która formalnie przeszła do opozycji. W trosce o wizerunek Polski jako lidera prokapitalistycznych przemian, na premiera wysunięto Waldemara Pawlaka, który z powodu przynależności do PSL, a przede wszystkim młodego wieku (wówczas 34 lata), nie raził tak bardzo w oczy swą przeszłością. Ale i tak opozycyjni politycy sztychili, że członkowie PSL są podobni do arbuza - z wierzchu zieloni (tradycyjny kolor „ludowców”), a w środku czerwoni.

W dwa lata później, w 1995 r., Lech Wałęsa, emblematyczna postać dla Solidarności i opozycji, przegrał w wyborach prezydenckich z byłym działaczem partii komunistycznej, Aleksandrem Kwaśniewskim. Zaledwie 6 lat po transformacji „stara lewica” odzyskała pełnię władzy. Konsekwentnie jednak wspierała neoliberalne zmiany ekonomiczne w przedsiębiorstwach i na rynku pracy. Już w latach 80. późniejsi prominentni członkowie SLD byli w większości zwolennikami gospodarki kapitalistycznej. W 1986 r. ówczesny reżim podpisał porozumienie z Międzynarodowym Funduszem Walutowym, wdrażając pierwsze programy strukturalnego dostosowania polskiej gospodarki do wymogów globalnego kapitalizmu. W takich okolicznościach polityka gospodarcza „starej lewicy” była kontynuacją „reformy Balcerowicza”, a jej działania faktycznie doprowadziły do pacyfikacji nastrojów (zwłaszcza, że zaczęło okresowo spadać bezrobocie) i do unieważnienia szeregu osiągnięć walk z lat 1992-1993. „Pakt

o przedsiębiorstwie”, według samego pomysłodawcy, Jacka Kuronia, nie przyniósł większych korzyści pracującym. Komisja Trójstronna, której celem miało być prowadzenie „dialogu społecznego”, stała się miejscem dwuznacznych pertraktacji i była mocno krytykowana przez związki zawodowe, narzekające na niemożliwość przebiecia sięz własnymi postulatami. Rozwiązania instytucjonalne zatem zawiodły.

Wpływ prac Ekierta i Kubika oraz ich metody na wielu badaczy utrwalił w literaturze przekonanie, że transformacja kapitalistyczna w Europie Środkowej i Wschodniej nie wywołała na tyle poważnych sprzeciwów, aby zagrozić rodzącym się nowym stosunkom społecznym i prywatyzacji. Wystąpienia miały - oceniano - ostatecznie współmiernie mały zasięg i konsekwencje w porównaniu z rozległością wprowadzonych zmian. Protestów było mniej niż się należało spodziewać, gdyby spojrzeć na drastyczny wzrost bezrobocia, prekaryzacji, pogłębienie się nierówności społecznych czy poszerzania się sfery ubóstwa. Ekiert i Kubik (1997) sugerują nawet, że u podłoża protestów społecznych z pierwszych lat 90., choć głównie wywoływanych przez pracowników, nie leżą przyczyny stricte bytowe, lecz że były one napędzane „bardziej wyrafinowanymi mechanizmami”. W istocie rzeczy starają się oni zdeprecjonować znaczenie walk klasowych i czynnika ekonomicznego, a uwypuklić instytucjonalne i polityczne przyczyny obserwowanego niezadowolenia społecznego. Dlatego zgadzają się oni z opinią Leszka Balcerowicza, który twierdził, że o skali protestu zdecydowały inne czynniki, niż typ przyjętej przez niego strategii gospodarczej. Co więcej, wyniki badań obejmujących okres od 1989 r. do wejścia Polski do Unii Europejskiej (2004), mają sugerować, jak twierdzi Kubik i Wenzel (2007), że fala protestów, zwłaszcza ekonomicznych, po niepokojach z pierwszej połowy lat 90. osłabła, co pośrednio ma dowodzić ostatecznej akceptacji transformacji prokapitalistycznej. Do oceny danych, na podstawie których wysunięto te wnioski, jeszcze wrócimy.

Przywoływani tu autorzy wskazują przede wszystkim na polityczne znaczenie i zaangażowanie w wywoływanie niepokojów społecznych NZSS Solidarność, która w ich oczach była związkiem prężnym i organizującym główny nurt protestu pracowniczego, bezpardonowo broniąc interesów załóg. Z opinią tą nie zgadza się David Ost (2007; 183 i dalsze). Stwierdza on, że faktycznie NSZZ Solidarność w dużej mierze spacyfikowała nastroje społeczne, dzięki czemu rozmiary sprzeciwu w latach 90. wobec skutków „reformy Balcerowicza” były zdecydowanie mniejsze i mniej groźne dla nowego systemu. Oczywiście wiele akcji organizowały zbuntowane doły związku. Ostatecznie często dokonywały one rozłamów i odchodziły od związku, tworząc alternatywne organizacje (przede wszystkim Solidarność'80 i Sierpień'80), niezadowolone z ugodowej postawy władz regionalnych i krajowych Solidarności. Ost polemizuje też z próbą podważenia przez Ekierta i Kubika teorii relatywnej deprywacji. Mówi ona, że przyczyną wystąpień społecznych jest rozdźwięk między oczekiwaniami społecznymi a realnie istniejącymi możliwościami ich zaspokojenia. Mogą one nastąpić nie tylko wskutek pogorszenia się ekonomicznego położenia

danej grupy, ale także poprzez rozbudzenie oczekiwań społecznych. Wbrew temu, co twierdzą Ekiert i Kubik, wszystko wskazuje, iż faktyczną przyczyną wystąpień społecznych w pierwszych latach 90. było właśnie radykalne pogorszenie się warunków życia przy jednoczesnym wzroście aspiracji społecznych. Ale to by oznaczało, że - wbrew zwolennikom Balcerowicza - system kapitalistyczny ostatecznie nie spełniał pokładanych w nim nadziei, a jego realna postać dalece odbiegała od lirycznych wyobrażeń³. Fala protestów opadła, kiedy zmniejszyło się bezrobocie i nastąpiło krótkotrwałe ożywienie gospodarcze.

Jeżeli możemy mówić o porażce wystąpień pracowniczych z pierwszej połowy lat 90. to należy jednak przedewszystkim zwrócić uwagę na pojawiające się wewnętrzne podziały w łonie klasy pracowniczej. Choć zasięg protestów, wbrew wielu opiniom, był poważny, to można mieć wątpliwości co do rozkładu szerszego poparcia. Z całą pewnością od protestów robotniczych i samych robotników, dystansowała się już wówczas duża część pracującej inteligencji, zasilającej szeregi klasy specjalistów, liczących na odbudowanie władzy merytokracji i rozwój przemysłu edukacyjnego. Jeszcze większy dystans pojawił się między inteligencją i robotnikami wielkomięskimi a mieszkańcami wsi, zwłaszcza robotnikami rolnymi (pracownicy dawnych Państwowych Gospodarstw Rolnych - PGR), chłoporobotnikami i biedotą wiejską gospodarującą na małych arealach. Dodatkowo pojawiła się cała masa robotników „wypchniętych” z rynku pracy na bezrobocie, rente, lub wcześniejsze emerytury. Na ich zorganizowanie związki zawodowe, ukształtowane w dobie pełnego zatrudnienia, nie miały żadnej recepty, a powoływane komitety bezrobotnych i partie emerytów, nie zdołały odegrać większej roli w wyniku dużej fluktuacji i braku funduszy czy zwykłego doświadczenia. Dorabiający do swoich niskich dochodów emeryci i renciści stawali się z drugiej strony osobnym segmentem na rynku pracy. Wreszcie kolejnagrupa, która częściowo z własnej inicjatywy, ale częściej przymuszona nową sytuacją ekonomiczną, podjęła próby prowadzenia swojej własnej, małej działalności gospodarczejczy znalazła się na samozatrudnieniu. Handel z lat 90. był tutaj najlepszym przykładem, kiedy bazyry i małe sklepy stały się niekiedy jedyną alternatywą na znalezienie dochodu (wyparte później w dużej części przez wielkopowierzchniowy handel: hipermarkety, centra handlowe, dyskonty itd., gdzie główną rolę odgrywają międzynarodowe korporacje). W dużej mierze zatem zunifikowana na przełomie lat 70. i 80. polska klasa robotnicza, z odgrywającymi wiodącą rolę pracownikami wielkiego przemysłu, politycznie domagającymi się kontroli nad zakładami pracy (samorząd pracowniczy), uległa dekompozycji w nowych okolicznościach lat 90. nie miała wspólnego politycznego ugruntowania, co bezwzględnie wpłynęło na ostateczny efekt coraz bardziej izolowanych względem siebie protestów.

*Jarosław Urbański, rozdział z książki „Prekariat i nowa walka klas”, 2014
Bibliografia na stronie 42.*

³ Pojęcie to przywołuje Rafał Drozdowski w swojej pracy Rynek pracowy w Polsce (2002; 121), przeciwstawiając „model lirycznego kapitalizmu” „kapitalizmowi korporacyjnemu” doby globalizacji.

3

**w 2023 roku
ponad 6 mln osób
mieszkających
w Polsce
nie miało
jakichkolwiek
oszczędności
a kolejne 6,5 mln
miało oszczędności
mniejsze
niż 5 tys. pln**

#8-faktów-o-Polsce

4

**w pierwszym
kwartale 2024 roku
firmy pożyczkowe
udzieliły chwilówek
na łączną kwotę
4,85 mld zł
oznacza to
wzrost o 111%
w porównaniu
z pierwszym
kwartałem 2023 roku**

Drugie pożegnanie

Nowoczesna opowieść o polskim kapitalizmie, PRL i demokracji

Kowale własnego losu

„Każdy jest kowalem własnego losu” to kolejny mit, który odcisnął się na naszej wyobraźni politycznej po 1989 roku. W uproszczeniu przedstawia się on mniej więcej tak: „Wszystko zależy od ciebie. Twoje sukcesy i twoje porażki. Jeśli ci się uda, nie jesteś nikomu niczego winien. Jeśli ci się nie uda, nie możesz mieć do nikogo żalu. Tym, co decyduje o naszych powodzeniach, jest przede wszystkim zmysł przedsiębiorczości. Być może jest on wrodzony, być może wypracowany, ale należy do każdego z nas z osobna. Państwo może go tylko tłumić, a to karząc ludzi sukcesu wysokimi podatkami, a to wtrącając się w procesy wolnorynkowe. Dlatego nie powinno ingerować w nasze działania, lecz wycofać się i umożliwić, każdemu pokazanie, na co go stać” (przytaczam to streszczenie za własnym artykułem Ścieżenie łóżka w polskim kapitalizmie).

Przytoczona opowieść, tak samo jak wizja rynku jako bóstwa, pochodzi z importu. Nie jest ona w żadnym razie charakterystyczna tylko dla Polski. Jeśli czymś się

wyróżniamy, to tym, że na tle niektórych krajów europejskich – jak np. państwa skandynawskie – stosunkowo słabo broniliśmy się przed tą narracją. Zbyt mocno zachwyciliśmy się wolnością kapitalistyczną, która przyszła do nas po zmianie ustrojowej, aby spojrzeć krytycznym okiem na importowane wraz z nią opowieści. Ta opowieść jest aktywowana przy różnych okazjach, ale najczęściej pojawia się wtedy, gdy rozmawiamy o podatkach – szczególnie podatkach dla najbogatszych. Jan Kulczyk, krytykując pomysł nałożenia na najzamożniejszą część społeczeństwa wysokich podatków, utyskiwał, że byłby to atak na tych, którzy „wcześniej wstają, więcej się uczą, więcej ryzykują”. W Polsce chętnie też mówiono i pisano o Gerardzie Depardieu, znanym aktorze, który po wprowadzeniu we Francji 75-procentowej stawki podatkowej dla bogaczy oskarżył tamtejszy rząd o nakładanie kary za „sukces, talent i kreatywność”. Janina Ochojska w odpowiedzi na pomysł dodatkowego opodatkowania najbogatszych stwierdziła, że „nie powinno się stosować żadnych środków przymusu w stosunku do osób, które są przedsiębiorcze. Nie można karać ludzi za bogactwo”.

Za tymi narzekaniami kryje się w gruncie rzeczy filozoficzne przekonanie, że wszystkie najważniejsze składniki decydujące o naszym powodzeniu lub naszej porażce znajdują się w nas, w poszczególnych jednostkach. Dlatego ktoś, kto odniósł sukces, nie ma żadnego obowiązku dzielić się nim z innymi za pośrednictwem podatków. A przynajmniej nie w znaczącym stopniu. Z kolei ludzie, którym się nie powiodło, nie mają podstaw, aby oczekiwać wsparcia ze strony państwa. Muszą bowiem ponieść konsekwencje swoich błędnych decyzji.

Ten skrajnie indywidualistyczny światopogląd nie ogranicza się tylko do najbogatszych przedstawicieli społeczeństwa. Przedostał się do niemal każdego zakamarka naszego języka. Jednym z wielu świadectw jego sukcesu jest zawrotna popularność słowa „przedsiębiorczość”. „Nie ma wolności bez przedsiębiorczości, nie ma wolności bez ludzi przedsiębiorczych, nie ma wolności bez zaradności i bez pracowitości” – mówił na gali Pracodawców RP ówczesny prezydent Bronisław Komorowski.

Przedsiębiorczość jest traktowana jako jedna z największych cnót współczesnego obywatela i niemal zawsze rozumie się ją jako coś, co człowiek nosi w sobie. „Przedsiębiorczość mamy we krwi” głosił jeden z memów Nowoczesnej, partii założonej przez Ryszarda Petru. Do wspierania przedsiębiorczości oraz do nauki „zarządzania swoim życiem” nawołuje też ksiądz Jacek Stryczek, znany ze Szlachetnej Paczki oraz z krytyki „katomarksizmu”.

Entuzjaści przedsiębiorczości mogą nie być pewni, czy się ją po prostu ma (we krwi), czy też trzeba się jej wyuczyć (np. kupując poradniki księdza Stryczka), wiedzą za to, że znajduje się ona w poszczególnych jednostkach. I ci, którzy mają jej najwięcej, powinni być stawiani za wzór jako współczesne odpowiedniki przodowników pracy.

Największym wrogiem ludzi przedsiębiorczych jest w takiej wizji zawsze państwo. Prezydent Komorowski we wspomnianym przemówieniu dowodził, że po 1989 roku Polacy musieli nauczyć się, że nie można liczyć na państwo, a każdy obywatel powinien zostać kowalem swojego losu. Ludzie przedsiębiorczy, czytają: „ludzie, którzy odnieśli sukces”, tak właśnie zdaniem byłego prezydenta zrobili. Ci, którym się nie powiodło, muszą porzucić roszczeniową postawę, wziąć przykład z wielkich tego świata i zacząć pracować na własny sukces.

Komorowski przekonywał, że ludzie mają obowiązek „myślenia o własnym bezpieczeństwie, o własnym wysiłku, o własnej pracy, o własnej odwadze brania własnego losu we własne ręce”. To obsesyjne powtarzanie słowa „własny” nie jest przypadkowe. Jest ono naturalną konsekwencją poglądu, że państwo to zbiór zatimizowanych jednostek, a każda z nich ma obowiązek dbać przede wszystkim o siebie.

Wiele osób zajmujących się na co dzień ekonomią i naukami społecznymi ma jednak poważne wątpliwości, czy taka indywidualistyczna wizja człowieka jest słuszna. Ha-Joon Chang, znany koreański ekonomista, twierdzi na przykład, że przedsiębiorczość nie jest cechą poszczególnych ludzi, lecz społeczeństw. „Nawet tak wyjątkowe jednostki, jak Edison i Gates zdobyły swoją pozycję tylko dlatego, że wspierał ich cały szereg instytucji zbiorowych” – pisze w „23 rzeczach, których nie mówią ci o kapitalizmie”.

Do tych instytucji zalicza m.in.: infrastrukturę naukową, przepisy prawa handlowego, system edukacji (dzięki któremu ludzie tacy jak Gates i Edison mogą korzystać z wiedzy i umiejętności swoich pracowników) oraz prawa patentowe. „Przedsiębiorczość staje się w krajach bogatych, nawet na poziomie firm, przedsięwzięciem wysoce zbiorowym” – podsumowuje swoje wywody na ten temat Chang. Innymi słowy, nie ma przedsiębiorczości bez zbiorowości, nie ma ludzi przedsiębiorczych bez państwa tworzącego instytucje pozwalające jej kwitnąć i bez społeczeństwa nauczonego ze sobą współpracować, a nie tylko rywalizować.

Wystarczy chwila zastanowienia, aby uznać, że koreański ekonomista mówi o rzeczach oczywistych. Być może są one aż nazbyt oczywiste, dlatego tak łatwo umykają, gdy rozmawiamy o zasługach ludzi bogatych. A nie powinny. Choćby dlatego, że nie każdy ma równy dostęp do wymienionych udogodnień. Dorobienie się miliardów dolarów na firmie komputerowej dla kogoś, kto urodził się i żyje na Łotwie, a nie w Stanach Zjednoczonych, jest o wiele trudniejsze, niezależnie od umiejętności i wysiłków tej osoby.

Zbyt szybko zapominamy, że drogi, którymi ludzie przedsiębiorczy wożą swoje produkty, nie spadły z nieba, lecz zostały ufundowane z podatków; że pracownicy, bez których ludzie przedsiębiorczy nie mogliby się obejść, w większości zdobyli wykształcenie w publicznych placówkach; że łatwiej sprzedawać produkowane

dobra w społeczeństwie, które może sobie pozwolić na ich zakup, niż w społeczeństwie ludzi żyjących z miesiąca na miesiąc, od jednej umowy śmieciowej do następnej.

Nie trzeba zresztą dokonywać porównań między państwami na różnym poziomie rozwoju, aby dostrzec, jak duża część przedsiębiorczości i zamożności bierze się nie z wybitnych jednostek, lecz z okoliczności, w których się poruszamy. Zazwyczaj wystarczy rozejrzeć się wokół.

Nierówności w dostępie do zasobów społecznych istnieją nie tylko między poszczególnymi krajami czy regionami świata, lecz także wewnątrz rozwiniętych społeczeństw zachodnich. Joseph Stiglitz, zdobywca ekonomicznego odpowiednika Nobla, lubi powtarzać z ironią, że dzieci w USA mają przed sobą tylko jeden istotny wybór: jakich rodziców chcą mieć.

Autor Globalizacji zauważa, że jakość wykształcenia młodych obywateli zależy w dużej mierze od zasobności portfeli ich matek i ojców. W jednej ze swoich książek przytacza statystyki, według których tylko 9% studentów elitarnych amerykańskich uczelni pochodzi z najuboższej połowy populacji – natomiast aż 74% stanowią przedstawiciele najbogatszej ćwiertki społeczeństwa. Przytacza także dane świadczące o tym, że młodzi ludzie z biedniejszych rodzin mają statystycznie mniejsze szanse na ukończenie studiów wyższych, nawet gdy na wstępnych etapach nauki osiągają lepsze wyniki niż ich bogaci rówieśnicy.

Ale czy wykształcenie jest takie ważne? – spyta ktoś. Czy mało mamy przykładów bezrobotnych po studiach? Mimo że takie przykłady rzeczywiście istnieją i są bardzo efektowne, to znowu, statystycznie rzecz biorąc, a więc skupiając się na całości społeczeństwa, a nie na wybranych osobach – nie oddają relacji między wykształceniem a sytuacją zawodową. Richard Wilkinson i Kate Pickett, autorzy głośnego *Ducha równości* (w Polsce niestety słabo znanego), podają następujące dane dla USA: osoby chodzące do szkoły średniej, lecz kończące ją bez dyplomu, zarabiały tygodniowo przeciętnie 419 dolarów, z dyplomem – 595, po uzyskaniu licencjatu w college'u – 1039, z co najmniej tytułem magistra – ponad 1200.

Puenta jest prosta. Im jesteś bogatszy (albo raczej: im bogatsi są twoi rodzice), tym większe masz szanse na uzyskanie lepszego wykształcenia. Im lepsze masz wykształcenie, tym większe prawdopodobieństwo, że będziesz dobrze zarabiał.

Warto dodać, że analizy statystyczne przeprowadzone w Polsce przez Instytut Badań Edukacyjnych także wskazują na istnienie zależności między pochodzeniem rodzinnym danej osoby a tym, jak najprawdopodobniej będzie wyglądała jej ścieżka edukacyjna. „W Polsce osiągnięte wykształcenie zależy w znacznym stopniu od wykształcenia rodziców – piszą autorzy raportu. – Gdy przynajmniej jedno z rodzi-

ców skończyło wyższą uczelnię, to szanse uzyskania wykształcenia wyższego wynoszą 73%. Szanse te maleją, gdy rodzice nie mają wykształcenia wyższego”.

Dane zebrane przez IBE pokazują też, że osoby lepiej wykształcone mają mniejszy problem ze znalezieniem pracy. Wniosek jest podobny jak w przypadku badań z USA: na osiągnięcia dzieci i młodzieży w szkole, a następnie w pracy, duży wpływ ma to, z jakich rodzin pochodzą. Wygląda na to, że Stiglitz ma rację. Wybór rodziców jest istotny – oczywiście mamy tu do czynienia z czymś na wzór błędnego koła, ponieważ ci rodzice sami mieli utrudnione albo ułatwione możliwości odniesienia sukcesu.

Chang, Stiglitz, Wilkinson i Pickett dowodzą jednego: nikt nie ma prawa powiedzieć o sobie, że osiągnął sukces oraz bogactwo wyłącznie własną pracą. Tak, duża część ludzi, którym się udało, musiała na to zapracować. Ale to tylko połowa historii. Druga jest taka, że powiodło im się, gdyż na ich rzecz działały określone warunki społeczne. I – w wielu przypadkach – szczęście. Wpływem tego ostatniego na sukces zajął się ostatnio Robert H. Frank, profesor ekonomii z Cornell University, w książce *Success and Luck: Good Fortune and the Myth of Meritocracy*.

Frank zauważa, że żyjemy obecnie w czasach, gdy mała różnica w jakości wykonanej pracy może przełożyć się na ogromne różnice w wynagrodzeniu. Stało się tak głównie dlatego, że osoby uznawane za największych fachowców w danej dziedzinie mogą obsługiwać szersze rynki niż jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Ich wpływy oraz pensje uległy zatem zwiększeniu ze szkodą dla ludzi ocenianych jako odrobinę gorsi.

Co decyduje o byciu postrzeganym jako „ten najlepszy” lub „ten gorszy”? Wiele rzeczy oczywiście, ale jedną z nich są zwykłe zbiegi okoliczności. Zdaniem Franka w sytuacji, gdy społeczeństwo jest dobrze wykształcone, różnice między osobami rywalizującymi o najwyższe nagrody są tak małe, że szczęście staje się nieodłącznym elementem ich sukcesów. Ktoś spotkał odpowiednią osobę, która pomogła mu popchnąć karierę do przodu (Frank pisze, że tak właśnie zdarzyło się w jego przypadku). Ktoś inny miał wyjątkowo dobry dzień w czasie rozmowy o pracę i wyprzedził kontrkandydatkę mającą minimalnie gorszy dzień. Jeszcze inny zastał swojego przyszłego szefa w wyjątkowo dobrym humorze. Te „małe” zdarzenia przekładają się następnie na ogromne różnice w wynagrodzeniach między tymi, którzy mieli szczęście, a tymi, którym go zabrakło.

Frank opisuje symulację rywalizacji rynkowej ze 100 tysiącami uczestników, w której zwycięstwo w 98% zależy od talentu i włożonego wysiłku, a w 2% od szczęścia. W każdej z tych kategorii przyznawano jednostkom biorącym udział w zmaganiach losowy wynik na skali od 0 do 100. Następnie zaś sprawdzano, kto zwycięży. Okazało się, że wśród wygranych średni wynik szczęścia wynosił aż 90,23. Do-

datkowo 78,1% zwycięzców nie posiadało najwyższego wyniku w kategorii talent i wysiłki. Innymi słowy, szczęście odgrywało ważną rolę w determinowaniu ostatecznych rezultatów – pomimo tego, że odpowiadało za nie tylko w 2%. Dlaczego? „Dwa czynniki wpływają na taki stan rzeczy – tłumaczy Frank – „Po pierwsze, ze względu na to, że szczęście z samej istoty jest czymś przypadkowym, najbardziej uzdolnione osoby mają taką samą szansę na posiadanie go jak pozostali. Po drugie, przy dużej liczbie uczestników rywalizacji wielu z nich będzie znajdowało się blisko najwyższego poziomu umiejętności, a dodatkowo kilku uzyska wysoki wynik w kategorii szczęście. W takiej sytuacji prawie zawsze znajdzie się ktoś, kto jest niemal tak samo uzdolniony jak najlepsza z rywalizujących osób, ale ma znacznie więcej szczęścia. Tak więc nawet kiedy szczęście odpowiada tylko w minimalnym stopniu za sukces, zwycięzca rywalizacji, w której bierze udział duża liczba uczestników, rzadko będzie najzdolniejszy, za to często znajdzie się w grupie największych szczęściarzy”.

Okazuje się zatem, że nawet jeśli pominiemy takie kwestie jak nierówny dostęp do edukacji czy innych zasobów społecznych, to najwięksi wygrani rynkowych zmagania i tak powinni z ostrożnością wysuwać twierdzenia, że wszystko zawdzięczają sobie i swojej ciężkiej pracy. Gdy zaś uwzględnimy wszystkie wspomniane czynniki zewnątrz wpływające na nasz sukces, staje się jasne, że ci, którym powiodło się najbardziej, powinni czuć się w moralnym obowiązku, aby dzielić się swoim majątkiem z resztą społeczeństwa. A już na pewno taki obowiązek powinien być prawną częścią struktury nowoczesnego państwa. Celnie ujął to Warren Buffet, jeden z najsłynniejszych inwestorów giełdowych na świecie: „Myślę, że społeczeństwo jest odpowiedzialne za bardzo znaczący procent moich zarobków. Gdyby ktoś mnie osadził w środku Bangladeszu, Peru, czy gdzieś tam, to przekonałbym się, jak wiele mógłbym ze swoim talentem osiągnąć na niedobrej ziemi. Trzydzieści lat później walczyłbym o przeżycie. Pracuję w systemie rynkowym, który akurat dobrze nagradza to, co robię – nieproporcjonalnie dobrze”.

Tomasz Szymon Markiewka, rozdział z książki: „Drugie pożegnanie. Nowoczesna opowieść o polskim kapitalizmie, PRL i demokracji



**w 2020 roku
ponad 1,7 mln
mieszkań było
pustostanami
to prawie
12% wszystkich
mieszkań w polsce**

#8-faktów-o-Polsce

6

**w 2011 roku
przeciętne
niespłacone
zadłużenie
osoby dostającej
emeryturę
wynosiło 3690 pln
obecnie jest to już
ponad 18,5 tys. pln**

Kapitalizm drobnego druku

Wielki socjolog niemiecki Max Weber nieprzypadkowo połączył narodziny kapitalizmu w etyką protestancką, twierdząc, że nie mógłby on powstać, gdyby pierwszymi kapitalistami nie kierowały pewne względy światopoglądowe i etyczne każące im inwestować zarobione pieniądze, a nie wydawać je na bieżącą konsumpcję¹. Szczegóły argumentacji Webera nie są tutaj ważne, istotne jest bowiem coś innego: jego przekonanie, że kapitalizm narodził się nie tylko z chęci zysku, ale także z głębokich pobudek etycznych. Teza ta jest wiarygodna, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę również ojców założycieli tej formy gospodarowania i organizacji życia społecznego, takich jak Adam Smith czy John Locke. Uważali oni kapitalizm (gospodarkę wolnorynkową) za projekt etyczny. Miał on m.in. stanowić lekarstwo na wcześniejsze ograniczenie wolności (nie tylko wolności gospodarowania, ale wolności jako takiej) i pozwalać na swobodne realizowanie się indywidualnych planów życiowych. W tym sensie liberałowie, którzy przede wszystkim ustanawiali zaplecze ideowe dla nowej formy życia gospodarczego, postrzegali swoją działalność jako głęboko rewolucyjną i – dziś powiedzielibyśmy – emancypacyjną. Miała ona wyrwać ludzi z objęć sztywnego i niesprawiedliwego systemu zależności feudalnych, które nie pozwalały na wyzwolenie inicjatywy jednostek, blokowały kanały awansu społecznego i przyczyniały się do ogromnego marnotrawstwa ludzkich sił i talentów². W tym sensie liberalizm był nurtem postępowym, korzystającym z najlepszych elementów ideologii oświeceniowej i dającym ludziom szansę na uzyskanie osobistego powodzenia i spełnienia. Nic dziwnego, że wielbicielem gospodarki kapitalistycznej był nawet Karol Marks, który wyraźnie dostrzegwał ów postępowy charakter kapitalizmu i jego ogromny potencjał wyzwolenia ludzkiej energii oraz zmieniania zaskorupiałych i nader niesprawiedliwych stosunków społecznych. Nie przypadkiem pisał on z aprobatą w Manifeście komunistycznym, że „dziś wszystko co stałe rozplywa się w powietrzu”. I choć w żaden sposób nie

¹ Zob. M. Weber, *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*, tłum. J. Miziński, Test, Lublin 1994.

² Zob. S. Holmes, *Anatomia antyliberalizmu*, tłum. J. Szacki, Znak, Kraków 1998.

uznawał on kapitalizmu za spełnienie nadziei ludzkości na lepsze życie, to jednak doceniał go jako system, który na spełnienie owych nadziei kiedyś pozwoli, choćby przez to, że zapewni poziom wytwórczości pozwalający później dzielić sprawiedliwie bogactwo, a nie biedę. Nie przypadkiem też w narracji Ojców Założycieli Stanów Zjednoczonych tak wiele jest etycznej nadziei na lepsze czasy w Nowym Świecie, w którym własność prywatna użyta dla dobra wszystkich stanie się podstawą dobrobytu i wolności³.

Przykłady wiązania wiary w wolny rynek z wartościami etycznymi można by mnożyć. Wszak nawet myśliciele neoliberalni, na czele z Fryderykiem von Hayekiem oraz Miltonem Friedmanem postrzegali swoje przywiązanie do idei wolnorynkowych w perspektywie etycznej, sądząc, że projektują nie tylko najefektywniejszy, ale także najbardziej etyczny sposób gospodarowania. Tym tropem szli także polscy apologetci wolnego rynku, tacy jak Mirosław Dzielski, którzy wyobrażali sobie, że kapitalizm polski będzie realizacją pewnych ideałów etycznych, tym bardziej, że miał on uzyskać etyczne wsparcie ze strony chrześcijaństwa jako doktryny zabezpieczającej go przed wynaturzeniami, jakie pojawiły się w jego łonie już w XIX w. i zaowocowały takimi wadami jak chciwość, bezwzględność, pycha, czy oschłość serca⁴ (tę ostatnią wspaniale piętnował Karol Dickens, moralista wierzący w poprawę ludzi przez apelowanie do ich sumienia). Owa nadzieja na etyczne wzmocnienie kapitalizmu etyką chrześcijańską czerpała także z przykładów wielkich kapitalistów XIX w. (przede wszystkim amerykańskich), którzy w ogromnej mierze pod jej wpływem oddawali się działalności filantropijnej, fundowali uniwersytety, szpitale, biblioteki, sale koncertowe, budowali wzorcowe osiedla dla robotników. To także w części chrześcijaństwu zawdzięczamy różne pomysły na korektę wynaturzeń kapitalizmu, które stały się widoczne wyraźnie w XIX w. Przybrały one formę różnych ruchów mających na celu poprawienie doli robotników, wspierały idee ustanowienia państwa socjalnego i skierowania energii rynku kapitalistycznego w kierunku zaspokojenia potrzeb wszystkich warstw społecznych (świetnym przykładem tego typu podejścia były idee tzw. ordoliberalizmu, koncepcji ekonomicznej i politycznej, która stała się po II wojnie światowej podstawą koncepcji społecznej gospodarki rynkowej w Niemczech⁵). Jeśli dodamy do tego stały nacisk na ucywilizowanie rynku kapitalistycznego płynący ze strony zorganizowanego ruchu robotniczego oraz wrażliwych społecznie liberałów (to im Wielka Brytania zawdzięcza powstanie państwa socjalnego), otrzymamy obraz sytuacji, w której kapitalizm jako pewien system gospodarowania oraz organizowania życia społecznego był poddawany ciągłej presji etycznej mającej zmusić go do tego, aby podporządkował się etycznym wymogom ograniczania krzywdy ludzkiej, niesprawiedliwości i przyczyniał do maksymalizowania dobra. Wszystko to doprowadziło do ukonstytuowania się w okresie po II wojnie światowej pewnego konsensu wszyst-

³ Zob. S. Filipowicz, *Pochwała rozumu i cnoty. Republikańskie credo Ameryki*, Znack, Kraków 1997.

⁴ Zob. M. Dzielski, *Bóg, wolność, własność*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2007.

⁵ Zob. R. Skarzyński, *Państwo i społeczna gospodarka rynkowa*, ISP PAN, Warszawa 1994.

kich bez mała sił ideowych i politycznych, polegającego na przyzwoleniu wobec działania kapitalizmu pod warunkiem, że podporządkuje się on ważniejszym od niego samemu ideałom stałego polepszania losu wszystkich osób znajdujących się w kręgu jego oddziaływania. Konsens ów, objawiający się przede wszystkim zgodą na istnienie państwa socjalnego, został zerwany w latach 80. XX w. w wyniku ofensywy sił skrajnych, dotąd traktowanych jak niebezpieczne ekstremum, ciekawostka ideowa, a nie poważna alternatywa dla istniejącego status quo. Siły te skupiły się pod sztandarem czegoś, co przyjęło się w Europie nazywać neoliberalizmem, zaś w Stanach Zjednoczonych libertarianizmem. Owa, jak ją nazwał profesor Andrzej Walicki „kontrewolucja neoliberalna”⁶, odniosła olśniewający sukces ustanawiając de facto hegemonię pewnego sposobu myślenia o gospodarce i państwie m.in. poprzez wmówienie wszystkim, że nie ma dlań żadnej alternatywy. Lecz zwycięstwo neoliberalów okazało się zaiste pyrrusowe, co ostatni kryzys ukazał aż nadto dobitnie. Dziś bowiem nie ulega już żadnej wątpliwości, że neoliberalizm zamiast wzmocnić kapitalizm, doprowadził go na skraj przepaści, co powoduje, że trzeba go obecnie bronić przed nim samym. Nie to jednak mnie w tej chwili najbardziej interesuje. Dużo ważniejsze wydaje mi się dostrzeżenie, iż ów kapitalizm spuszczonej ze smyczy z jakim mieliśmy (i wciąż mamy!) do czynienia, w ciągu ostatnich dziesięcioleci doprowadził do niebываłych spustoszeń moralnych. Świadectw tego mamy aż zbyt wiele, i to zarówno u nas, jak i na świecie. Analizy ostatniego kryzysu, których jest w tej chwili już mnóstwo uwidaczniają dobitnie, iż w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat doszło do procesu ukonstytuowania się modelu kapitalizmu jako zorganizowanego oszustwa. Wszyscy próbowali oszukać i przechytryć wszystkich, przy czym wszelkie bariery moralne zostały rozmontowane i porzucone. Moralność przegrała z rynkiem. Kapitalizm w formie neoliberalnej ujawnił najgorsze swe cechy i wyzwolił w ludziach, którzy go realizowali ciemne siły. Owa degrengolada moralna kapitalizmu, najlepiej widoczna w Stanach Zjednoczonych, nie ominęła także i nas. Nie ma dnia, aby nasze media nie donosiły o przypadkach gwałcących prawo zamówień cenowych, prób budowania monopolu, posługiwania się narzędziami korupcji w celu uzyskania przewagi nad innymi podmiotami gospodarczymi, nieuczciwych umów, w których to co najważniejsze zapisane jest drobnym drukiem w nadziei, że klient okaże się frajerem, który tego nie przeczyta; tzw. optymalizacji podatkowej, która jest niczym innym jak próbą oszukania wszystkich współobywateli płacących podatki w przekonaniu, iż w ten sposób spełniają obywatelski obowiązek; pogardy dla praw pracowniczych i maksymalizowania zysku kosztem ludzkiej krzywdy (tzw. umowy śmieciowe są tego dobrym przykładem); bezwstydniego ukrywania pod płaszczykiem zapewnienia efektywności ekonomicznej faktu potęgującego się wyzysku pracowników; wykorzystywania asymetrii informacyjnej celem wciągnięcia ludzi w tryby działania giełdy przypominającej coraz bardziej jedną wielką piramidę finansową. Szczególnie bolesne jest socjalizowanie młodych ludzi do kłamstwa i manipulacji przez zmuszanie ich do oszukiwania klientów. Konfrontacja idealistycznie nastawionego młodego człowieka z machiną działania

⁶ Zob. A. Walicki, „Kontrewolucja neoliberalna”, Gazeta Wyborcza, 15.05.2014

instytucji, w której troska o zysk wyparła wszelkie skrupuły moralne jest często początkiem łamania charakteru. W ten sposób dokonuje się deprawacja na wielką skalę, która przybrała dziś charakter systemowy. Przez to ostatnie rozumiem nie tylko skalę tego procederu, ale także fakt, iż jest on uwarunkowany ogólną sytuacją hiperkonkurencji, w której jedynie te przedsięwzięcia gospodarcze mają szansę na sukces, które dostosują się do walki rynkowej nie przestrzegającej żadnych reguł, w tym i reguł moralnych. Jeśli warunkiem utrzymania się na rynku jest stosowanie nieuczciwych chwytów, nawet najbardziej moralny przedsiębiorca, czy po prostu pracownik, w końcu ulegnie logice gry, w której albo się gra nieuczciwie, albo się upada, i sam zacznie grać nieuczciwie. W ten sposób demoralizacja staje się warunkiem systemowym ekonomicznego powodzenia.

Co stało się przyczyną tej moralnej degrengolady kapitalizmu? W moim przekonaniu nie chodzi o to, że ludzie stali się dziś w jakiś istotny sposób gorsi pod względem moralnym, niż byli wcześniej, ale o to, że poprzez wycofanie się państwa z pełnienia funkcji regulatora rynku i strażnika reguł gry, a także stopniowej eliminacji roli światopoglądu religijnego jako faktycznego, a nie tylko deklarowanego regulatora ludzkich działań, do głosu doszły najbardziej destruktywne siły tkwiące w kapitalizmie od samego początku. Jest to bowiem system niespecjalnie wrażliwy na względy moralne. Jego własna logika działania popycha go w kierunku nihilizmu. Jedynie poddanie go stałej presji zewnętrznej, pochodzącej przede wszystkim ze strony państwa, ale także takich instytucji społeczeństwa obywatelskiego jak związki zawodowe czy kościoły może zmusić go do honorowania zasad moralnych i pewnej przyzwoitości w traktowaniu wszystkich, którzy znajdują się w orbicie jego oddziaływania. Najważniejsze jednak, aby szukać recepty na jego uzdrowienie nie tyle w kursach etyki biznesu, ale w takim działaniu prawodawczym (systemowym), które spowoduje, iż nieuczciwość i zorganizowane oszustwo stanie się po prostu nieopłacalne. Niedawne decyzje rządu amerykańskiego mające na celu dotkliwe ukaranie instytucji finansowych, które przyczyniły się do ostatniego kryzysu (przede wszystkim banków i agencji ratingowych), znamionuje uświadomienie sobie przez część elit politycznych USA, że nie ma co liczyć na proces ich samooczyszczenia i autonaprawy. Skala obłudy klasy panującej w podanym finansjalizacji „kapitalizmie kasyna” oraz jej umiejętność cynicznego wkalikulowywania w ryzyko swego działania konieczności przeznaczania części zysków na cele spłaty różnorodnych kar wymusza na państwie sięganie do środków na tyle bolesnych, aby uczynić ten proceder nieopłacalnym. Uświadomienie sobie stopnia zepsucia owej klasy pokazuje, że kapitalizm, pozbawiony nadzoru państwa zamienia się w mechanizm systemowej demoralizacji, prowadzącej do rozpadu tkanki społecznej (do anomii). Warto pamiętać, iż ostateczna delegitymizacja kapitalizmu, która niechybnie nastąpi w wyniku tego procesu (już nastąpiła?) może doprowadzić do nieprzewidzianych turbulencji społecznych o charakterze rewolucyjnym. Gniew i frustracja narastające latami mogą doprowadzić do społecznego wybuchu. Powinni o tej możliwości pamiętać wszyscy ci zwolennicy istniejącego status quo,

którzy wszelkie próby korekty działania kapitalizmu zmierzające do przywrócenia mu bardziej ludzkiego oblicza traktują jako zamach na efektywność gospodarowania czy „święte prawo własności”. Szczególnie u nas, gdzie procesy społecznego rozwarstwienia i skala wyzysku oraz uzależnienia od kapitału zagranicznego⁷ przybierają rozmiary pozwalające na postawienie tezy o stopniowym stawaniu się Polski Bangladeszem Europy.

Rozdział z książki Andrzeja Szahaja Kapitalizm Drobego Druku, 2014

⁷ „Kształtująca się nowa struktura własności firm i aktywów finansowych obrazuje ograniczone możliwości działania rodzimego kapitału oraz ekonomiczną słabość ‘klasy średniej’ i elity krajowego biznesu. Równocześnie struktura ta jest ważnym wskaźnikiem gospodarcze ‘peryferijności’ Polski na tle zachodnioeuropejskich państw UE. Potwierdza również prognozy, że liberalizacja handlu z Zachodem i otwarcie na swobodne przepływy kapitału wyznaczy Polsce rolę źródła niskopłatnej kadry średniego szczebla i ‘podwykonawców’ międzynarodowych korporacji, które podporządkowują rozwój swoich lokalnych oddziałów preferencjom kapitału krajów wysoko rozwiniętych. K. Jasiński, *Kapitalizm po polsku. Między modernizacją a peryferiami Unii Europejskiej*, IFiS PAN, Warszawa 2013.

#8-faktów-o-Polsce



**w 2014 roku
najbogatsze 1% osób
mieszkających
w Polsce
posiadało razem
prawie 12% całego
majątku
w 2022 roku
było to już
ponad 23%
całego majątku**

Lata

W letnie wieczory na początku lat siedemdziesiątych, pośród zapachu suchej ziemi i tymianku, zgromadzeni wokół wielkiego chłopskiego stołu kupionego za marne tysiąc franków u handlarza starociami, nad szaszłykami i nicejskim ratatouille (nie można było zapominać o wegetarianach) obcy sobie biesiadnicy, paryżanie odnawiający dom w sąsiedztwie, przypadkowi podróżni, miłośnicy wycieczek i malowania jedwabiu, pary z dziećmi i bez nich, zarośnięci mężczyźni, zdziczałe nastolatki, dojrzałe kobiety w indyjskich sukienkach, po pełnym rezerwy początku - choć już od pierwszej chwili wszyscy mówili sobie na „ty” - nawiązywali rozmowy o sztucznych barwnikach i hormonach w żywności, o seksuologii i ekspresji cielesnej, o antygimnastyce, metodach Mezieres i Rogersa, o jodze, narodzinach bez przemocy opisywanych przez Frederica Leboyera, o homeopatii i soi, autosugestii, Lipie i Rene Dumonce

Zastanawiano się, czy lepiej posyłać dzieci do szkoły, czy kształcić je samemu, czy mycie podłogi ajaxem jest toksyczne, czy korzystniej jest uprawiać jogę, czy chodzić na terapię grupową, czy utopią byłoby pracować tylko dwie godziny dziennie, czy kobiety powinny się domagać równouprawnienia, czy może równości w odmienności. Omawiano po kolei najlepsze sposoby odżywiania się, rodzenia i wychowywania dzieci, dbania o siebie, uczenia się, życia w harmonii ze sobą, z innymi, z naturą i tego, jak uciec od społeczeństwa. „Wyrażania siebie” przez garncarstwo, tkanie, grę na gitarze, robienie biżuterii, teatr, pisanie. W powietrzu wisiało prężne pragnienie „tworzenia”. Wszyscy uprawiali albo zamierzali uprawiać jakąś formę działalności artystycznej. Uznawano, że w ten czy inny sposób każda z tych form równa jest innej i że nawet jeśli nie maluje się albo nie gra na flecie poprzecznym, zawsze można stwarzać siebie w psychoanalizie. Podczas gdy dzieci, położone spać w jednym pokoju, wygłupiały się w najlepsze, pomimo oficjalnego zalecenia, że mają być cicho, dorosli, popijając alkohol pędzony przez sąsiada zaproszonego tylko na aperitif - schodzili na marzycielskie rozważania o seksie, czy jesteśmy hetero, czy homo, na wyznania o pierwszym orgazmie. Dzika dziewczyna oznajmiała: „Uwielbiam srać”. Spotkanie się tego letniego wieczora z ludźmi, z którymi nic nas nie łączyło, z dala od rodzinnych obiadów i rytuałów, których nienawidziliśmy, dawało ekscytujące poczucie, że otwieramy się na różnorodność świata. Czuliśmy się z powrotem nastolatkami. Nikomu nie przyszło do głowy, by mówić o woj-

nie, Auschwitz i obozach albo wydarzeniach w Algierii, to była sprawa zamknięta, dyskusji podlegały tylko Hiroszima i przyszłość nuklearna. Było tak, jakby nic się nie wydarzyło pomiędzy wiekami chłopskiego życia, których tchnienia zdawała się przynosić wonna noc na langwedockim pustkowiu, a tą chwilą w sierpniu 1973 roku. Ktoś zaczynał grać na gitarze, śpiewać *Comme un arbredans la ville* Maxime'a Le Forestiera i *Duerme negrito* zespołu Quilapayiln - słuchano ze spuszczonej oczami. Układano się do snu gdzie popadło, na łózkach polowych w dawnym budynku gospodarczym, nie wiedząc, czy lepiej byłoby się kochać z sąsiadem z prawej, czy z lewej, czy może z żadnym. Sen ogarniał nas, zanim podjęliśmy decyzję, zagrożeni w euforii i utwierdzeni w wartości tego stylu życia, którego przedstawienie odgrywaliśmy przez cały wieczór sami przed sobą, z dala od „drobnomieszczuchów” wczasujących w ścisku na kempingach w Merlin-Plage.

Społeczeństwo miało już teraz swoją nazwę - stało się „społeczeństwem konsumpcyjnym”. To był fakt bezdyskusyjny, pewnik, którego - czy człowiek sobie tego życzył, czy nad tym ubolewał - nie dało się podważyć. Wzrost ceny ropy naftowej przerwał ten trend tylko na chwilę. Był to czas wydawania pieniędzy, ze szczególnym naciskiem na kupowanie rzeczy i dóbr mających zapewnić przyjemność. Fundowano więc sobie dwudrzwiową lodówkę, zwinne renault 5, tygodniów Club Hotel we Flaine, kawalerkę w Grande-Motte. Zmieniano telewizor. Na kolorowym ekranie świat był piękniejszy, a wnętrza godne pozazdroszczenia. Zniknął dystans, który czerń i biel ustanawiały wobec codzienności, jej surowy, niemal tragiczny negatyw.

Reklama pokazywała, jak trzeba się zachowywać, żyć, meblować, była kulturą wychowawczą społeczeństwa. Toteż dzieci domagały się owocowej wody Evian, bo „smakuje lepiej”: batoników Cadbury, serka Kiri, adaptera, żeby słuchać piosenki z disnejowskich *Aryskotratów* i *Gospodyni proboszcza* Annie Cordy, zdalnie sterowanego samochodziku i lalki Barbie. Rodzice mieli nadzieję, że jeśli tylko ofiarują im to wszystko, ich pociechy nie będą później palić haszu. A my, którzy nie dawaliśmy się na to nabrać, którzy poważnie analizowaliśmy z uczniami pułapki zastawiane przez reklamę i zadawaliśmy im jako temat pracy pisemnej pytanie: „Czy szczęście tkwi w posiadaniu rzeczy?” kupowaliśmy we Fnacu wieżę stereo, radiomagnetofon kasetowy Grundig, kamerę super 8 Bell & Howell i mieliśmy poczucie, że wykorzystujemy nowoczesność do mądrych celów. Dla nas i poprzez nas konsumpcja ulegała oczyszczeniu.

Ideą Maja przybierały postać przedmiotów i rozrywki.

#8-faktów-o-Polsce

8

**w 2002 roku
31% rodziców
deklarowało
opłacanie zajęć
edukacyjnych
swoim dzieciom
w 2023 roku
było to już 72%**

ABC KAPITALIZMU

redaguje kolektyw
kontakt: www.balcerowicz.com

BALCEROWICZ.COM

Naszym podstawowym celem jest dostarczanie aktywistom, dziennikarzom i wszystkim zainteresowanym informacji pozwalających na rzetelną i merytoryczną krytykę mechanizmów władzy. Prezentując wybrane dane, chcemy przekonać do krytyki zarówno hierarchicznego społeczeństwa, jak i systemu kapitalistycznego i demokracji w obecnym kształcie. Wiemy, że wszystkie negatywne zjawiska współczesnego świata, m.in. takie jak: wykluczenie i przemoc ekonomiczna, postępująca koncentracja kapitału i brak społecznej kontroli nad nim oraz fasadowa demokracja, nie są przejściowe.

Jesteśmy świadomi, że dziennikarze uzależnieni od popularności oraz zależni od reklamodawców i wyników finansowych swoich wydawnictw, niechętnie podejmują się krytyki rządzących oraz władzy kapitału. Wiemy też, że rządzący chodząc na smyczy „niewidzialnej” ręki rynku, swoimi posunięciami zaspokajają roszczenia osób i instytucji go reprezentujących. Wszystko to, utwierdza nas w przekonaniu, że media już dawno przestały być „czwartą władzą”, a „nasi reprezentanci” nieustannie realizują interesy kapitału. Nie pozwolimy dłużej tego ukrywać.

ABY ZAMÓWIĆ

ten i poprzednie zeszyty: www.balcerowicz.com

-
- BIBLIOGRAFIA DO „TRANSFORMACJA WALK SPOŁECZNYCH W POLSCE. ODPOWIEDŹ NA TERAPIE SZOKOWĄ”*
Ekiert Grzegorz, (1994), „Protesty jako forma życia publicznego w Polsce postkomunistycznej 1989-1992”, *Studia Socjologiczne* nr 2/1994, Warszawa
Ekiert Grzegorz, Kubik Jan (1997), „Protesty społeczne w nowych demokracjach: Polska, Słowacja, Węgry i Niemcy Wschodnie (1989-1994)” *Studia Socjologiczne* nr 4/1997, Warszawa.
Ost David (2007), *Kłęska Solidarności. Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*, Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa
Siemaszko Andrzej (red.) (1999), *Atlas przestępczości w Polsce 2*, Oficyna Naukowa, Warszawa
Vanhuysse Peter (2004), „East European Protest Politics in the Early 1990s: Comparative Trends and Preliminary Theories”, *Europe-Asia Studies*, vol. 56, nr 3, maj 2004

